

KRONIKI KRZECZYŃSKIE

46



tekst
AGATA
MICHALAK

zdjęcia
WERONIKA
ŁAWNICZAK

Pola i Charles de Nicolay

Uciekając od narastających pandemicznych obostrzeń wybraliśmy się na Dolny Śląsk, do majątku, który od końca lat 90. pozostaje w rękach francuskiej arystokracji. W tym domu wielkowiejskie wyrafinowanie umiejętnie wydobywa na wierzch to, co ładne i wdzięczne w sielskiej tradycji.





Pałac w Krzeczynie Małym stoi we wsi, na skraju parku, który jesienią służy za tło do amatorskich sesji zdjęciowych. Nie ma tu bramy, żaden płot nie zagraджа wstępu – ot, po prostu wjeżdża się na żwirowy podjazd. Na powitanie wychodzi gospodyni, Paulina de Nicolay, serdecznie witając gości. Mimo hrabiowskiego kartuszu nad wejściem, tu raczej skraca się dystans.

Pola, jak nazywają ją przyjaciele, zna to miejsce od lat. Przyjeżdżała do Krzeczyna Małego na weekendy, a potem, od czasu narzeczeństwa z Charlesem de Nicolay, spędza tu coraz więcej czasu. To on przejął zarządzanie majątkiem, który w latach 90. kupili hrabiostwo Ghislain i Elizabeth de Nicolay. – Polska to mój drugi dom i wielka miłość – mówi francuski hrabia.

Staraniom całej rodziny dom zawdzięcza swój obecny kształt i to, że po dekadach popadania w ruinę znów jest miejscem, gdzie toczy się życie. I to dość ożywione, bo oprócz dwójki gospodarzy i kilku osób pomagających w prowadzeniu gospodarstwa, mieszka tu jeszcze trójka psów, kury znoszące jajka, stadko owiec i stado... alpaka. To spełnione agro-marzenie Charlesa, który wraz z kuzynami Davidem de Jouffroy Gonsans i Paulem Roitfeldem wymyślił markę ekskluzywnej pościeli z wełny andyjskich krewniaków lam.

– Alpaki pasą się na naszych łąkach. Raz do roku strzyżemy ich wełnę, ręcznie ją czyścimy, gremplujemy, a potem pikujemy i zszywamy perkal z ekologicznej bawełny, by powstały gotowe kołdry – tłumaczy Charles. Postanawiam, że zrobię podobnie. Z zasłyszanych w Krzeczynie historii, niezym nici, wyciągnę kilka wątków, które złożą się na osnowę tej opowieści.

Uciekając od narastających pandemicznych obostrzeń wybraliśmy się na Dolny Śląsk, do majątku, który od końca lat

90. pozostaje w rękach francuskiej arystokracji. W tym domu wielkomiejskie wyrafinowanie umiejętnie wydobywa na

Najdłuższa jest rzecz jasna historia domu. Okazały barokowy pałac zbudowany w pierwszej połowie XVIII przez stulecia służył kilku dobrze sytuowanym rodzinom, które rozbudowywały go, zakładały ogrody i dopieszczały całość. Ostatni przed de Nicolayami był austriacki ród von Harrach, którego dzieje obecni właściciele znają najlepiej, bo z pierwszej ręki. – Hrabia von Harrach nawet nas tutaj odwiedził, bo mój tata decydując się na kupno domu, napisał do niego, czy nie ma nic przeciwko – relacjonuje Charles. Przedwojenny właściciel nie tylko nie miał pretensji; wręcz ucieszył się, bo wiedział, że jeśli majątku nikt nie kupi, będzie niszczał, aż zostanie zrównany z ziemią, jak inne okoliczne dwory.

Rodzina von Harrach opuszczała to miejsce w popłochu, ratując się przed nadciągającą Armią Czerwoną. Wojska Stalina wzięły hrabiego Wicharda von Harrach, młodego oficera Wehrmachtu, w wieloletnią niewolę. Jego żona i dzieci zdążyły dostać się na terytoria wyzwalone przez Amerykanów. Nic więc dziwnego, że wojenna zawierucha i tuż powojenne przesiedlenia wędrowni ludności nie obeszły się z domem łaskawie. – Jedna z kobiet ze wsi opowiadała tacie, że pałacowym fortepianem palono w piecu przez trzy dni – wspomina Charles. Podobny los najpewniej spotkał też intarsjowane parkiety, w niektórych pomieszczeniach złożone z trzech rodzajów drewna, czy misterne boazerie, które szczęśliwie w gabinecie starszego z panów de Nicolay udało się odtworzyć.

Ziemię majątku przekształcono w PGR. W samym pałacu zrobiono więzienie dla kobiet, a później szkołę dla niepełnosprawnej młodzieży.

Rodzicom Charlesa zajęło kilka lat, zanim przyłączyli do majątku park oraz pola i łąki.

Skąd wziął się na Dolnym Śląsku francuski hrabia z korzeniami sięgającymi niewoli awiniońskiej papieży w początkach XIV wieku? To druga z nici naszej opowieści.

Pokaz jubileuszowej kolekcji Gem Dior w Palazzo Labia w Pokaz jubileuszowej kolekcji Gem Dior w Palazzo Labia w Wenecji; Victoire de Castellane przed pokazem w Wenecji. Pokaz jubileuszowej kolekcji Gem Dior w Palazzo Labia w Wenecji; Victoire

Pokaz jubileuszowej kolekcji Gem Dior w Palazzo Labia w Pokaz jubileuszowej kolekcji Gem Dior w Palazzo Labia w Wenecji; Victoire de Castellane przed pokazem w Wenecji. Pokaz jubileuszowej kolekcji Gem Dior w Palazzo Labia w Wenecji; Victoire

– Rodzina mojej mamy jest austriacko-amerykańska, z korzeniami z Walii, natomiast przodkowie taty pochodzą ze średniowiecznej Florencji, gdzie byli dworzanami papieży – zaczyna historię rodzinną Charles. Nim się orientuje, jest już rewolucja francuska i ta część francuskiej linii de Nicolayów, która ją przeżyła, wybywa za granicę. Powracają kilkanaście lat później za restauracji Bourbonów z Ludwikiem XVIII, którego portret góruje nad nami w salonie. Ponowna emigracja rodziny nastąpiła po rewolucji lipcowej w 1830 roku. Do Francji ta linia rodziny de Nicolay już nie wróciła, a bezpośredni przodkowie Charlesa osiadają w Belgii. – Moi rodzice mieszkali w Loupoigne, naszym belgijskim majątku, kiedy w latach 80. między położonym niedaleko katolickim uniwersytetem Louvain-La-Neuve a lubelskim KUL-em trwała ożywiona wymiana kadr. W ten sposób trafiło do nas wielu polskich księży i profesorów, którzy u nas mieszkali. Rodzice zbliżyli się do polskiej kultury – wspomina Charles. Kiedy nastaje wolna Polska, państwo de Nicolay są ciekawi młodej demokracji. – Pewnego razu zimą trafiliśmy do Karpacza, niedaleko stąd. Ja miałem może cztery lata, moja siostra Tatiana – dwa. Mój tata nie jeździ na nartach, więc postanowił pozwiedzać okolicę i tak odkrył ruinę w Krzeczynie – opowiada Charles. Podkreśla, że wówczas naprawdę to była ruina. – Bez okien, mebli, parkietów, tynków. Bez pieców, które też wyniesiono, z połową dachu. Ze schodów na dole było widać słońce. Moja mama jednak zapalała miłością do tego miejsca, które stylem przypominało jej austriacką architekturę. Poczula też, że tu wraz z mężem i dziećmi mogą stworzyć prawdziwy,

rodzinny dom. Mój dziadek, który był tutaj jeden jedyny raz, zanim umarł, kiedy zobaczył pałac, wykrzyknął: Wiedziałem, że mój syn jest szalony, ale teraz już wiem, że całkiem postradał zmysły!

Najmłodszemu pokoleniu de Nicolay to w niczym nie przeszkadza. Dzieci kochają ten swoisty „camping”. – Tam, gdzie dziś jest pralnia, znajdowała się kuchnia, trochę wody i dwa grzejniki, żeby postawić patelnię. A ten tutaj korytarz to był piach, a nad nim dwie deski, po których się przechodziło – wspomina gospodarz. – Twoja łazienka jest w miejscu mojej i siostry sypialni, rodzice zamieszkiwali pokój dwa pomieszczenia dalej. I tyle – śmieje się.

Długo tak nie daje się funkcjonować, więc hrabia wybiera się do agencji nieruchomości w pobliskim Lubinie i prosi o możliwość wynajęcia domu na rok czy dwa. W odpowiedzi słyszy: „Panie, tu nie ma domów, to jest nowe miasto”. To może jakieś mieszkanie? „Panie, jest jeden rodzaj mieszkań, 44 metry kwadratowe. Bierzesz pan albo nie”. I tak z rodowej rezydencji w Loupoigne rodzina de Nicolay przenosi się do bloku w Lubinie, a dzieci idą na dwa lata do miejscowej szkoły, co owocuje nie tylko znajomościami z okoliczną dzieciarnią trwającymi nierzadko do dziś, lecz także świetną znajomością polszczyzny i lokalnej kultury.

Tutaj dochodzimy do kolejnego wątku – osobistej historii Charlesa, która wciąż uparcie splata się z dolnośląskim majątkiem. Bo choć po kilku latach dziadek Charlesa umiera i cała rodzina przenosi się z powrotem do Loupoigne, to jednak do Krzeczyna wracają na wakacje. Charles idzie na studia z handlu międzynarodowego w Paryżu, ale w skrytości ducha marzy o rolnictwie. Póki co jednak, by być bliżej Polski, na stypendium Socrates-Erasmus wybiera warszawską Szkołę Główną Handlową, a po studiach kursuje między Paryżem, Brukselą, Warszawą a Krzeczynem. W końcu dociera do niego, że to w Polsce, nie w Belgii, ma do dyspozycji więcej ziemi i możliwości, by uruchomić projekt, który z ziemi wyrasta, ale jest przy tym innowacyjny i unikatowy. – Miałem różne pomysły, chciałem robić miód, produkować sery, ale jesteśmy nieco za daleko od dużego miasta i odbiorców, którzy byliby zainteresowani naprawdę wysoką >







Zdjęcia
MARTYNA GALIA/
VAN DORSEN
ARTISTS

Stylizacja
MARCIN KUBERNA

Włosy
PIOTR WASIŃSKI/

VAN DORSEN
ARTISTS

Makijaż
PATRYCJA
DOBRZENIECKA
kosmetykami MILK
MAKEUP

Asystent fotografii

ARKADIUSZ STAŃ
Asystentka stylisty
MARTA ZACZYŃSKA

Produkcja
ZBYSZEK
SZYMANCZYK

Castig

ANNA JOŹWIAK

Modelka
LAUREN FREDERICK
/
MILK MANAGEMENT

Podziękowania dla Regent
Warsaw Hotel.

jakością. Jeśli chciałbym uprawiać ziemniaki, to mój sąsiad robi to tak samo albo i lepiej – przekonuje. Aż w końcu przychodzą do niego kuzyni, którzy proponują hodowlę alpaka. Okazuje się, że to strzał w dziesiątkę.

– My mieliśmy teren i budynki, oni pieniądze do zainwestowania w stado i maszyny. Projekt zakładał od początku, że wszystko robimy sami – wspomina. Nawet codzienne karmienie zwierzątek. Charles odbył kilka stażów rolniczych, żeby nabrać wprawy i wszystkiego dogłębnie się nauczyć. Teraz zatrudnia ludzi do pomocy, ale wciąż czuje odpowiedzialność za liczące już około 50 sztuk stado.

I choć piękne kołdry z logo Le Chardon kupić można przede wszystkim w eleganckich butikach w Paryżu, Londynie i Warszawie, to Charles cieszy się, że udaje mu się pod przykrywką luksusowego produktu sprzedać coś bardzo lokalnego i naturalnego. Wełna alpaka jest bowiem hipoalergiczna, więc nadaje się nawet dla uczulonych na wełnę owczą lub gęsi puch. Przy tym jest termoregulacyjna. Oznacza to, że kiedy jest zimno, przyjemnie grzeje, a gdy gorąco, oddycha. – To jest produkt pochodzący stąd – podkreśla dumny hodowca.

Nowa hrabina de Nicolay wspiera męża w jego pasji. – Codziennie dyskutujemy, co jeszcze możemy uprawiać i hodować w Krzeczynie. Założyliśmy dwa ogrody: warzywny, którego plony trafiają do naszej kuchni i kwiatowy. Jedną z moich pasji jest florystyka, więc mam spore pole do popisu, układając bukiety w wazonach. Wpadłam też na pomysł organizowania w Krzeczynie targów produktów lokalnych. W okolicy mamy zaprzyjaźnionych wytwórców serów, miodów i szparagów – mówi Pola.

To zamiłowanie do tutejszej ziemi, intymna historia Charlesa, brzmi też w jego polszczyźnie. – Polski nie jest łatwy, słysząc w nim, z jakiej warstwy społecznej pochodzisz, ale też wiele zależy od twoich doświadczeń: nie mam problemu z tym, żeby porozmawiać z kimś o zbożach czy maszynach rolniczych, ale w dyskusjach o filozofii ciągle brakuje mi jakiegoś słowa – przyznaje. Komplementuję go, bo zna wszystkie polskie nazwy kwiatów, które rosną w ogródku. Wie, że po tulipanach i żonkilach będą mieczyki, potem hortensje, a na koniecie chryzantemy, ale on tylko macha ręką: zna je, bo z nimi obecuje. I przytacza anegdotę o tym, jak mama zaniepokoiła się, że powinien częściej wracać do Francji, bo zapomina słów po francusku. – Ale to przecież nie o to chodziło! Nie zapomniałem ich, tylko naprawdę nigdy tego słowa nie znałem. Kiedy mieszkasz w Paryżu, to nieczęsto rozmawiasz z ludźmi o oraniu pola i sianokosach.

Na deser zostawiam najbardziej romantyczną opowieść w tym patchworku: historię nowej rodziny de Nicolay. Pola i Charles poznali się sześć lat temu przez wspólnych znajomych w Warszawie. Pola urodziła się w Vancouver w rodzinie polsko-niemieckiej, ale wychowała w dużej mierze w Polsce, z drobną przerwą na studia w londyńskim Sotheby’s Instute of Art. Jest kolorowym ptakiem, który doskonale pasuje do krzeczyńskich wnętrz. Niebanalne ubrania, dodatki i faktury. Pola kocha bowiem cały ten modowy zgiełk. Jej niedawno powstała firma to również ziszczone marzenie: w ramach My Vintage Story wyszukuje vintage’owe perełki, częściowo je przerabia i sprzedaje online. I choć ma duże doświadczenie w dziennikarstwie, jak i w świecie marszandów dzieł sztuki, to właśnie do bliskich kontaktów z tkaninami i ubraniami ciągnie ją najbardziej. Zresztą to też bardzo podoba jej się w nowym domu: dywany, kolory, firany. – Uwielbiam połączenia barw, które tu napotykam. I przestrzeń – opowiada. Chee wnieść tu jeszcze więcej życia, może trochę patentów podpatrzonych w podróży, w których najbardziej kocha spotkania z lokalnymi kulturami i ludźmi. Dla niej i Charlesa Krzeczyn to przede wszystkim dom, choć trochę większy od przeciętnego. – Wspólnie chcemy rozwijać to miejsce z myślą, że kiedyś po nas przejmą je nasze dzieci, kontynuując rodzinną tradycję. To dla nas największa wartość. To ogromna codzienna praca i odpowiedzialność, ale nie boimy się tego – deklarują.

Wraz z Polą w pałacu nastał też Kimchi – niebieskooki szczeniak – maltańczyk, który zapaściętałe podgryza bardziej stateczną seterkę irlandzką Etnę. Ale Etna, jak wszyscy tutaj, nowe ●